

# **ERNEST HEMINGWAY**

## **Pozostałe opowiadania**

Przełożył Tomasz S. Gałązka

**MARGINESY**

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /  
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY  
Tomasz S. Gałązka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

## Raz przez cieśninę

Wicie, jak to jest w Hawanie wczesnym rankiem, kiedy lumpy wciąż jeszcze śpią pod ścianami domów, a furgony nawet nie zaczęły rozwozić lodu do barów? Więc z przystani do kawiarni Perła Świętego Franciszka przeszliśmy przez plac i tylko jeden żebrak na nim nie spał, pił za to z fontanny. Kiedy jednak weszliśmy do kawiarni i usiedliśmy, czekało tam już na nas trzech facetów.

Usiedliśmy, a jeden z nich podszedł.

– No i? – zaczął.

– Nie mogę – odparłem. – Chętnie bym to zrobił, w ramach przysługi. Ale tak jak mówiłem zeszłej nocy, nie mogę.

– Sam wyznaczylby pan cenę.

– Nie o to chodzi. Nie mogę. I tyle.

Podeszli też dwaj pozostali, stali ze smętnymi minami. Sympatyczne z wyglądu chłopaki, naprawdę chętnie zrobiłbym to dla nich.

– Tysiąc od łebka – powiedział ten, który dobrze znał angielski.

– To tylko psuje mi nastrój – odparłem. – Mówię prawdę, nie mogę i już.

– Potem, kiedy wszystko się zmieni, miałby pan dzięki temu dobre układy.

– Wiem. Popieram was całym sercem. Ale nie mogę.

– Czemu nie?

– Ja tą łodzią zarabiam na życie. Jeśli ją stracę, nie będę miał z czego żyć.

– Za te pieniądze może pan kupić sobie nową.

– Nie w więzieniu.

Chyba wydawało im się, że wystarczy wiercić mi dziurę w brzuchu, bo ten jeden wciąż nie odpuszczał.

– Będzie pan miał trzy tysiące dolarów i szansę na dobre układy w przyszłości. Przecież to wszystko tutaj się nie utrzyma, sam pan wie.

– Słuchajcie – odpowiedziałem. – Nie obchodzi mnie, kogo tu macie za prezydenta. Ale nie wożę do Stanów gadających ładunków.

– Mówi pan, że my byśmy gadali? – odezwał się jeden z tych, którzy dotąd milczeli. Zły był.

– Żadnych gadających ładunków, mówię.

– Myśli pan, że jesteśmy *lenguas largas*?

– Nie.

– Wie pan, kto to *lengua larga*?

– Tak, ktoś, kto ma długi język.

– A wie pan, co my takim robimy?

– Odpuść sobie, człowieku – powiedziałem mu. – To wy macie dla mnie propozycję. Ja wam niczego nie oferowałem.

– Zamknij się, Pancho – zwrócił się do tego gniewnego ten, który dotąd prowadził rozmowę.

– Mówi, że będziemy gadali – ciskał się Pancho.

– Słuchaj – powiedziałem. – Mówię wam, że nie wożę niczego, co gada. Alkohol w workach nie gada. Pełne gąsiorzy nie gadają. Mnóstwo innych rzeczy nie gada. A ludzie gadają.

– A Chińczycy gadają? – indagował Pancho wrednie.

– Gadają, ale ich nie rozumiem – odpowiedziałem.

– Czyli nie chce pan tego zrobić?

– Tak jak mówiłem wam zeszłej nocy, nie mogę.

– Ale nie będzie pan gadał? – dążył Pancho.

Jednej rzeczy nie zrozumiał i od tego zrobił się wredny. Pewnie było też w tym trochę rozczarowania. Nawet mu nie odpowiedziałem.

– Nie jest pan *lengua larga*, co? – zapytał, znów wrednie.

– Nie sądzę.

– A to co znowu, groźba?

– Słuchaj no – powiedziałem mu. – Nie ciskaj się tak z samego rana. Nie wątpię, że niejednemu już poderzynałeś gardło. A ja jeszcze nawet kawy nie piłem.

– Czyli ma pan pewność, że podrzynałem ludziom gardła?

– Nie. I ni diabła mnie to nie obchodzi. Nie potrafisz rozmawiać o interesach tak, żeby się nie rozeźlić?

– Teraz to jestem zły – odparł. – Chętnie bym pana zabił.

– A idź w cholerę – powiedziałem. – I nie gadaj tyle.

– Pancho, chodźmy już – odezwał się ten pierwszy i zwrócił się do mnie: – Bardzo mi przykro. Szkoda, że nas pan nie zabierze.

– Ja również żałuję. Ale nie mogę.

Tamci trzej ruszyli do drzwi, a ja odprowadzałem ich wzrokiem. Przystojne chłopaki, w dobrych ciuchach: żaden w kapeluszu, ale wyglądali na takich, którym pieniędzy nie brakuje. W każdym razie dużo mówili o pieniądzach, a ich angielszczyzna pasowała do zamożnych Kubańczyków.

Dwaj mogliby być braćmi, ten trzeci, Pancho, był nieco wyższy, ale podobnej urody. No wiecie, szczupli, dobrze ubrani, lśniące włosy. Pewnie tylko w gębie był taki wredny. Przypuszczałem, że jednak nerwy ich żarły.

Gdy wyszli za drzwi i skręcili w prawo, zobaczyłem, że w ich stronę jedzie przez plac jakiś sedan. I zaraz poszła szyba, kula huknęła w butelki stojące rzędem na murku wystawowym. Słyszałem strzały, a butelki na murku tylko pach, pach, pach.

Rzuciłem się za kontuar, od lewej strony, wyjrzałem górą, żeby zobaczyć co i jak. Samochód stał, przycupnęli przy nim dwaj, jeden z thompsonem, drugi z samopowtarzalną strzelbą. Thompsona miał czarnuch. Ten drugi był ubrany w biały szoferski prochowiec.

Jeden z chłopaków był już rozciągnięty na chodniku, twarzą do ziemi, tuż przed tym wielkim oknem, które poszło w drobny mak. Dwaj pozostali kryli się za furgonem z lodem z browaru Tropical, który zatrzymał się obok, przy barze Cunard. Jeden koń z zaprzęgu zwałił się, wierzgając, między dyszle, drugi szarpał się, że mało łba sobie nie urwał.

Któryś chłopak strzelił z za tylnej krawędzi furgonu, poszedł rykoszet od chodnika. Czarnuch z thompsonem prawie przykleił się do jezdni i pociągnął od spodu serią po tyle furgonu, no i proszę, jeden z chłopaków padł, runął ku chodnikowi, głowa wystawała mu nad krawężnik. Wił się tam, osłaniając głowę dłońmi, ten tam szofer walił do niego ze strzelby, kiedy czarnuch zmieniał magazynek bębnowy na pełny, ale było zbyt daleko. Loftki zostawiały wszędzie na chodniku ślady, jakby ktoś bryzgał srebrem.

Ostatni z chłopaków ściągnął tego trafionego za nogi, za furgon, zobaczyłem, że czarnuch znów kładzie się twarzą do ulicy, żeby pociągnąć im kolejną serią. A tu nasz kolega Pancho wyszedł z za narożnika furgonu, skrył się za tym koniem, który jeszcze trzymał się na nogach, zaraz wyłonił się z za niego, a twarz miał bladą jak nieprane prześcieradło, i kropnął szofe-

raka z potężnego lugera, musiał ten pistolet trzymać oburącz, żeby mu nie latał. Ruszył w stronę czarnucha, dwa razy wałnął mu nad głową, raz nisko.

Trafił w oponę tego ich samochodu, bo widziałem, jak z ulicy podrywa się smuga kurzu od uciekającego powietrza, a z trzech metrów czarnuch wpakował mu kulkę z thompsona w brzuch, pewnie ostatnią, bo zobaczyłem, jak rzuca tym peemem. Twardziel Pancho klapnął ciężko na bruk, pochylił się do przodu. Próbował wstać, wciąż trzymał lugera, ale nie był w stanie unieść głowy, a wtedy czarnuch zgarnął strzelbę leżącą przy szoferze i odwalił mu skroń razem z przyległościami. Taki czarnuch skubaniec.

Pociągnąłem szybkiego łyka z pierwszej otwartej flaszki, jaka mi się nawinęła, nawet nie wiem, co to było, jakbyście pytali. Od tego wszystkiego nastrój zupełnie mi się popsuł. Nisko za barem wymknąłem się do kuchni i dalej, tylnym wyjściem na zewnątrz. Obszedłem plac szerokim łukiem, nawet nie zerknąłem na tłumek, który zaraz zaczął gromadzić się przed kawiarnią, tylko raz-dwa za bramę, na pomost, na pokład łodzi.

Na pokładzie czekał już facet, który nas czarterował. Opo-wiedzialem mu, co się stało.

- A gdzie Eddy? - zapytał mnie ten gość, nazywał się Johnson.

- Nie widziałem go od momentu, kiedy zaczęli strzelać.

- Myśli pan, że mógł oberwać?

- Gdzie tam, ni cholery. Mówię panu, wszystkie kule, które zahaczyły o kawiarnię, poszły w wystawę. W momencie jak samochód podjeżdżał do tamtych od tyłu. Jak zastrzelili pierwszego, przed samym oknem. Podjechali pod kątem, o tak...

- Bardzo pan tego wszystkiego pewny - wtrącił.

- Bo patrzyłem.

Wtedy uniosłem wzrok i zobaczyłem, że po pomoście idzie Eddy, wyglądał na nawet wyższego i bardziej rozchętanego niż zazwyczaj. Kiedy szedł, wszystkie stawy bujały mu się w niewłaściwych kierunkach.

– O, idzie.

Eddy nie wyglądał dobrze. Rano nigdy nie wyglądał najlepiej, ale teraz to już w ogóle fatalnie.

– Gdzie byłeś? – zapytałem go.

– Na podłodze.

– Widziałeś to wszystko? – spytał go Johnson.

– Nie ma o czym gadać, panie Johnson – powiedział mu Eddy. – Na samą myśl niedobrze mi się robi.

– Lepiej sobie gólnij – powiedział mu Johnson i zwrócił się do mnie: – To jak, wypływamy?

– Pan decyduje.

– Jaki będzie dzień?

– Raczej taki jak wczoraj. Może nawet lepszy.

– No to wypłyniemy.

– Zaraz, jak tylko dowiozą przynętę.

Już trzy tygodnie pływaliśmy z tym gościem na ryby na Golsztromie, jego pieniądze nawet jeszcze nie powąchałem, nie licząc stowy, którą mi dał, żeby opłacić konsula i sprzętanie, i na żarcie i paliwo, zanim wypłynęliśmy z Florydy. Ja zapewniałem cały sprzęt, jemu tylko bił licznik, trzydzieści pięć dolarów dziennie. Facet spał w hotelu, co rano przychodził na łódź. Nagonił mi go Eddy, więc musiałem brać go jako załoganta. Płaciłem mu cztery dolary dziennie.

– Muszę zatankować łódź – powiedziałem Johnsonowi.

– Dobra.

– Przydałyby się jakieś pieniądze.

– Ile?



– Trochę ponad sześć centów za litr. Powiniennem wziąć tak ze sto osiemdziesiąt, więc wychodzi jedenaście dolarów dwadzieścia centów.

Wyciągnął piętnaście dolarów.

– Reszta ma pójść na piwo i lód? – zapytałem.

– Nie trzeba – odparł. – Odliczy pan sobie od tego, co jestem winien.

Pomyślałem sobie: Wożę faceta na krechę już trzy tygodnie, ale skoro jest wypłacalny, to co za różnica? Owszem, powinien rozliczać się po każdym tygodniu. Ale niektórych woziłem tak przez miesiąc i potem płacili wszystko. Zgoda, moja wina, ale z początku fajnie się z nim pływało. Dopiero przez kilka ostatnich dni zaczął mnie stresować, ale wolałem nic nie mówić, żeby się na mnie nie zeźlił. O ile był wypłacalny, im dłużej go woziłem, tym lepiej.

– Piwko? – zaproponował, otwierając skrzynię z lodem.

– Nie, dzięki.

Akurat wtedy na pomost wszedł ten czarnuch, od którego braliśmy przynętę, więc poleciłem Eddy'emu, żeby szykował się do rzucenia cum.

Czarnuch wniósł przynętę na łódź, odcumowaliśmy i wyszliśmy z portu, a on zajął się przygotowywaniem paru makreli: hak w pysk, przez skrzela, potem rozcinał bok, wbijał hak od drugiej strony i przeciągał na wylot, zawiązywał pysk na drucianym przyponie i porządnie mocował hak, żeby się nie wysunął i żeby przynęta dała się ciągnąć gładko, bez koziółkowania.

Ten czarnuch to był autentycznie czarny, do tego bystry i ponury, pod koszulą nosił wokół szyi błękitne paciorki wudu, na głowie stary słomiany kapelusz. Na pokładzie najchętniej spał albo czytał gazety. Ale przynętę szykował elegancko i szybko.

– Pan by nie dał rady przygotować takiej przynęty, panie szyper? – zapytał Johnson.

– Dałbym, oczywiście.

– Więc po co brać do tego czarnucha?

– Jak trafimy na duże ryby, to pan zobaczy – powiedziałem.

– W jakim sensie?

– Czarnuch radzi sobie z tym szybciej ode mnie.

– A Eddy nie dałby rady?

– Nie, proszę pana.

– Wydaje mi się, że to zbędny wydatek. – Za każdy dzień płacił czarnuchowi dolara, a on co wieczór szedł w tango. Widziałem, że już go bierze na sen.

– Bez niego się nie obejdziemy – odparłem.

Teraz minęliśmy już kotwiczące przed Cabañas kutry żaglowe i czekające na nie samochody do przewozu ryby, i łódki do połowu lucjanów, zakotwiczone przy Morro, tam gdzie dno jest kamieniste, i wyprowadziłem łódź na zatokę, tam gdzie ciemno znaczyła się głębia. Eddy wypuścił dwie duże zanęty, czarnuch założył przynęty na trzy wędkę.

Prąd podchodził tu blisko, prawie do płyiczn, gdy zbliżaliśmy się ku jego krawędzi, widać było jego niemal fioletowe wody, poznaczone wirami w regularnych odstępach. Zaczęła ciągnąć lekka bryza od wschodu, podrywało się przy nas mnóstwo latających ryb, tych dużych, które wyskakując z wody, wyglądają jak zdjęcie maszyny Lindbergha podczas lotu przez Atlantyk.

Te duże ryby latające to najlepszy znak, jaki może się trafić. Jak okiem sięgnąć, widać było drobne kępki bladożółtych wodorostów z Golsztromu, znak, że główny nurt prądu szedł właśnie tędy, a przed nami ptaki obrabiały ławicę drobnych tuńczyków. Widać było, jak skaczą, takie małe, ledwie po kilo z hakiem sztuka.

– Może pan zarzucić, kiedy tylko pan zechce – powiedziałem Johnsonowi.

Włożył pas i uprząż, wystawił długie wędzisko z kołowrotkiem firmy Hardy, na szpuli dobrze ponad pół kilometra plecionki z trzydziestu sześciu żyłek. Spojrzałem za rufę, jego przynęta ciągnęła ładnie, podskakiwała leciutko na falach, a dwie zanęty wyskakiwały i nurkowały. Szliśmy z idealną prędkością, plus minus, więc skręciłem w prąd.

– Wetknie pan koniec wędziska w gniazdo na fotelu – przypomniałem Johnsonowi. – Wtedy nie będzie tak ciężko. Zwolni pan hamulec, będzie łatwiej popuścić, jak coś weźmie. Jak któryś panu weźmie, a hamulec będzie włączony, wyrwie pana za burtę.

Dzień w dzień musiałem powtarzać mu to samo, ale to nie ból. Może co pięćdziesiąty klient wie, jak się łowi ryby. A jak już wiedzą, to co drugi jest baran i chciałby używać żyłki, którą zerwie każda większa sztuka.

– Jaki dzień się nam szykuje? – zapytał.

– Lepszy być nie może – powiedziałem. Faktycznie, ładnie było.

Oddałem ster czarnuchowi, powiedziałem mu, żeby ciągnął przy skraju prądu, na wschód, i wróciłem na rufę, gdzie Johnson siedział i patrzył, jak hopsa mu przynęta.

– Mam wystawić drugie wędzisko? – zapytałem.

– Myślę, że nie – odparł. – Chcę sam złapać rybę, walczyć z nią i ją wyciągnąć.

– Dobrze. To może Eddy ma wystawić swoje i odda panu, jeśli coś weźmie przynętę, żeby pan mógł walczyć dalej?

– Nie. Wolę, kiedy jest tylko jedno wędzisko.

– W porządku.

Czarnuch wciąż pilnował steru, uniosłem wzrok, zobaczyłem, że zauważył przed nami wyskakującą ławicę latających ryb, troszkę pod prąd. Obróciłem się, za nami widać było Hawanę, piękną w porannym słońcu, i statek wychodzący właśnie z portu, koło twierdzy Morro.

– Myślę, panie Johnson, że dziś będzie miał pan okazję z jakimś powalczyc – powiedziałem.

– Najwyższa pora. Ile to już krążymy po morzu?

– Dziś będą trzy tygodnie.

– Długo jak na wędkowanie.

– Bo takie to już są te ryby. Póki nie przyjdą, to ich nie ma. Ale jak już przyjdą, to jest ich mnóstwo. A zawsze przychodzą. Jeśli nie przyjdą teraz, to już wcale. Księżyc we właściwej fazie. Prąd jak trzeba, będziemy też mieli dobry wiatr.

– Najpierw, kiedy zaczynaliśmy, było trochę małych.

– Więc właśnie tak, jak mówię. Najpierw małe się wykru-szają, kończą, i dopiero wtedy przychodzą duże.

– Wy, szyprowie tych łodzi do wynajęcia, wszyscy znacie jedną śpiewkę. Jak nie jest za wcześnie, to za późno, wiatr nie ten albo księżyc w złej fazie. Ale pieniądze bierzecie zawsze.

– Cóż – ja mu na to – tak to właśnie jest, cholera, że najczęściej jest za wcześnie albo za późno i często wiatr nie taki. Aż nagle przychodzi idealny dzień, a ja stoję w porcie bez klienta.

– Ale myśli pan, że dziś będzie dobry dzień?

– Jeśli o mnie chodzi, atrakcji miałem już dziś aż nadto. Ale jestem gotów się założyć, że pan też będzie miał co robić.

– Mam nadzieję – odparł.

Pozostało już tylko ciągnąć przynętę. Eddy poszedł na dziób się zdrzemnąć. Ja stałem i rozglądałem się, czy nie pojawia się jakiś ogon. Chwilami zdarzało się, że czarnuch nam

przysypiał, więc i na niego miałem oko. Ten też pewnie miał niezłe życie nocne.

– Mógłbym pana poprosić o butelkę piwa, kapitanie? – zagadnął mnie Johnson.

– Jasne, proszę pana. – Wetknąłem dłoń głęboko w lód, żeby miał zimne.

– A pan sobie nie weźmie?

– Nie, dziękuję – odparłem. – Poczekam do wieczora.

Otworzyłem butelkę i kiedy mu ją podawałem, zobaczyłem tego wielkiego brązowego sukinkota z dziobem dłuższym niż ręka u człowieka, jak wystawia łeb i pół ciała z wody i wali w tę makrelę. Na oko grubo był jak kopalniak.

– Luzu mu daj! – wrzasnąłem.

– Nie złapał jej – odparł Johnson.

– No to trzymaj.

Wyszedł z głębin i nie trafił w makrelę. Wiedziałem, że zaraz nawróci i znów na nią ruszy.

– Przygotuj się pan, żeby dać mu luzu, jak tylko ją capnie.

I zaraz zobaczyłem, że nawraca za nami pod wodą. Widać było płetwy rozłożone szeroko, jak fioletowe skrzydła, i fioletowe pręgi na brązowych łuskach. Ciągnął jak okręt podwodny, górna płetwa wyszła na powierzchnię, widać było, jak tnie wodę. Tym razem ustawił się dokładnie za przynętą, uniósł też dziób, który jakby kolebał się trochę nad wodą.

– Wpuść mu ją w pysk – powiedziałem.

Johnson zdjął rękę z kołowrotka, szpula zafurczała, a ten stary marlin skręcił i zanurkował, i zobaczyłem, jak po całej długości błyska jasnym srebrem, kiedy obrócił się do nas bokiem i całą naprzód ruszył w stronę brzegu.

– Daj pan trochę hamulca – poradziłem. – Odrobinę.

A ten już ciśnie wajchę.

– Odrobinę – powtórzyłem. Już widziałem, że linka się naprężyła. – A teraz mocno i zacinaj. Musisz go zaciąć. I tak zaraz skoczy.

Johnson docisnął hamulec i pociągnął wędkę do góry.

– Zatnij go – powiedziałem. – Tak solidnie. Co najmniej z pięć razy.

Więc go zaciął, całkiem mocno, jeszcze parę razy, po czym wędzisko zgięło się wpół, kołowrotek wył jak opętany, a marlin wyskoczył, bam, długim, prostym susem, załśnił w słońcu srebrem i plusnął, jakby kto konia z klifu zrzucił.

– Popuść pan ten hamulec – powiedziałem.

– Przecież się zerwał – odparł Johnson.

– Nic się nie zerwało, do cholery. Popuść pan hamulec, i to już.

Widziałem, że linka się zakrzywia, a kiedy marlin wyskoczył kolejny raz, to prosto za rufą, kierował się w stronę morza. I znów wyskoczył, huknął w wodę, aż bryznęła biel, zauważyłem, że jest zahaczony z boku pyska. Wyraźnie było widać jego pręgi. Piękna sztuka, teraz już jasnosrebrzysty w fioletowe pasy, i autentycznie grubo jak kłoda.

– Zerwał się – powiedział Johnson. Linka zwisała luźno.

– Ściągaj go – odparłem. – Jest porządnie zahaczony. Silniki cała naprzód! – wrzasnąłem do czarnucha.

I znów wyskoczył, raz, drugi, sztywny jak słup, całą długością ciała skacząc prosto na nas, przy każdym upadku wyrzucając wysoko wodę. Linka się napięła, widziałem, że znów kieruje się ku brzegowi, znów nawraca.

– Teraz spróbuje uciec – powiedziałem. – Jeśli pójdzie przed nas, będę go gonił. Hamulec luźno. Linki nie zabraknie.

Ten stary marlin pociągnął na północny zachód, jak wszystkie duże sztuki, i powiem wam, poszedł przed nas, jakby

go gonili. Zaczął sadzić takie wielkie, długie susy, jak ścigacz pędzący po morzu. A my za nim, a kiedy już zrobiłem zwrot, mieliśmy go w pierwszej ćwiartce od dziobu. Trzymałem ster i darłem się do Johnsona, żeby luzował hamulec i szybko zwiął żyłkę. I nagle widzę, jak wędzisko mu się szarpie, linka zwisa luźno. Nie wyglądała na luźną, chyba że dla wprawnego oka, bo na tej długości stawiała opór wodzie. Ja mam wprawne oko.

– Zerwał się – powiedziałem mu.

Marlin wciąż skakał, nie przestawał, aż znikł nam z pola widzenia. Wspaniała sztuka, skubaniec.

– Wciąż czuję, że ciągnie.

– To ciężar linki.

– Prawie nie mogę jej ściągać. Może zdechł.

– Popatrz pan. – Wskazałem. – Wciąż tam skacze. – Widać go było prawie o kilometr od nas, nadal wyrzucał pióropusze wody.

Zmacałem hamulec na kołowrotku. Zaciśnięty do oporu. Nic dziwnego, że nie mógł wybierać linki. Musiała trzasnąć.

– Nie mówiłem, żeby luzował pan hamulec?

– Ale on wciąż ciągnął linkę.

– I co z tego?

– No, docisnąłem hamulec.

– Słuchaj pan – zacząłem. – Jak się im nie popuści linki, kiedy tak idą przed łodzią, to się zerwą. Nie ma takiej, która by je utrzymała. Chcą ciągnąć, to im pan dawaj. Hamulca używać ostrożnie. Ci, co łowią na rynek, nie są w stanie utrzymać ich blisko nawet na linie do harpuna. My musimy więc korzystać z tego, co daje nam łódź, żeby je ścigać i nie dać im wyciągnąć całej linki, kiedy uciekają. Po takiej ucieczce idą na głębie, wtedy można docisnąć hamulec i wybierać linkę.

– Czyli gdyby się nie zerwała, tobym go złapał?

– Miałby pan szansę.

– Ale nie dałby rady wciąż tak ciągnąć, co?

– Za to może próbować masy innych rzeczy. Walka zaczyna się dopiero po tym, jak spróbował ucieczki.

– No to złapmy jakiegoś – powiedział.

– Zaczynj pan od zwinięcia linki – odparłem.

Zahaczyliśmy tego marlina i zgubiliśmy go, a Eddy nawet się nie obudził. Za to teraz stary dobry Eddy przywędrował na rufę.

– Co jest? – zapytał.

Kiedyś był z niego pożytek na łodzi, zanim się chłop rozpił, ale teraz to nic a nic. Patrzyłem na niego, jak stoi taki, wysoki, z zapadniętymi policzkami, obwisłymi ustami, z tym białym paskudztwem w kącikach oczu, włosami zupełnie wypłowiały mi od słońca. Wiedziałem, że się zbudził, bo go suszyło.

– Walnij sobie lepiej piwko – poradziłem mu.

Wyciągnął jedno z chłodziarki, opróżnił.

– No, panie Johnson, to ja chyba pójdę kończyć drzemkę – powiedział. – Szczerze zobowiązany za piwo. – Ot, Eddy, skubaniec. Ryba nie ryba, jemu to ryba.

Cóż, koło południa trafiliśmy następnego, ale uciekł z haka. Jak nim rzucił, to widzieliśmy ten hak leżący dziewięć metrów nad wodą.

– A co tym razem zrobiłem nie tak? – zapytał Johnson.

– Nic – odparłem. – Po prostu go odrzucił.

– Panie Johnson – odezwał się Eddy, zbudzony ochotą na kolejne piwo – panie Johnson, no nie masz pan szczęścia, i tyle. Za to może z kobitami się poszczęści? To co, panie Johnson, idziemy wieczorem na miasto? – Po czym wrócił na dziób i znów się położył.

Gdzieś około czwartej wracamy w poblizze brzegu, pod prąd, a rwie jak młyński potok, słońce grzeje nam w plecy,



i nagle przynętę Johnsona capnął największy czarny marlin, jakiego w życiu widziałem. Bo zarzuciliśmy sztuczną kałamarnicę jako przynętę, złapały się cztery tuńczyki, z tych małych, i czarnuch przygotował Johnsonowi jednego takiego na haku jako przynętę. Ciągnął się trochę głęboko, ale za to porządnie chlapał.

Johnson odpiął sobie wędzisko od uprzęży, żeby móc je położyć na kolanach, bo rozboleły go ręce od trzymania sprzętu przez cały czas w jednej pozycji. A że dłonie miał znużone przytrzymywaniem hamulca na szpuli, bo ta duża przynęta stawiała większy opór, to wykorzystał moment, że spuściłem go z oka, i znów zacisnął hamulec na fest. Nawet nie wiedziałem, że tak go zablokował. Nie podobało mi się, jak trzyma wędkę, ale nie chciałem cały czas się go czepiać. Poza tym, ze zdjętym hamulcem, linka wybiegałaby sobie swobodnie, więc nie było ryzyka. Ale to nie tak się łowi ryby.